Frank Herbert

Wędrujący dom

(Old Rambling House)

Galaxy Science Fiction April 1958
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the short story "Old Rambling House" by Frank Herbert, published by Project Gutenberg, July 22, 2009 [EBook #29492]
According to the included copyright notice:
"This etext was produced from Galaxy Science Fiction April 1958. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Grahamowie pragnęli domu, który mogliby nazwać swoim własnym… ale czego pragnął dom?

W czasie swojej ostatniej nocy na Ziemi, Ted Graham wyszedł ze szklanej budki telefonicznej i uchylił się w ostatniej chwili, aby uniknąć kontaktu ze spadającą ćmą, która w swoim szalonym locie, uderzyła w wiszącą nad kabiną gołą żarówkę.

Ted Graham był długoszyim mężczyzną, o głowie w kształcie wyraźnego jaja zwieńczonej przedwcześnie łysiejącymi jasnymi włosami. Coś w jego wychudzonym, specyficznym wyglądzie, sugerowało zawód, którym się zajmował: certyfikowany biegły księgowy.

Stanął za swoją żoną, która studiowała stronę gazety reklamowej i marszczyła brwi.

– Powiedzieli, żeby czekać tutaj. Przyjadą i nas stąd zabiorą. Mówili też, że nocą, to miejsce jest trudne do znalezienia.

Martha Graham uniosła wzrok znad gazety. Była kobietą o nieco lalkowatej urodzie, w zaawansowanej ciąży, roztaczającą wokół siebie charakterystyczną aurę różowiutkiej urody. Żółte światło wiszącej nad budką lampy, przyćmiewało czerwono-kasztanowy połysk jej związanych w koński ogon włosów.

– Ja po prostu *muszę* mieć jakiś dom, kiedy urodzi się dziecko – powiedziała. – Jak to wszystko wyglądało?

– Trudno powiedzieć. Były jakieś zabawne zakłócenia w tle –– tak jakby dyskusja w jakimś obcym języku.

– Mówili jak cudzoziemcy?

– W pewnym sensie. – Ruszył wzdłuż okrytego całunem nocy rzędu przyczep, zmierzając do jednej z nich, której okna pałały bursztynową poświatą. – Zaczekajmy w środku. To robactwo na dworze, lata dzisiaj jak szalone.

– Powiedziałeś im, która przyczepa należy do nas?

– Tak. Wydaje się, jakby w ogóle się tym nie przejmowali. To dziwne – – jak na kogoś kto chce wymienić swój dom na przyczepę.

– Nie ma w tym nic dziwnego. Pewnie po prostu chcieli gdzieś się wynieść, tak samo jak my.

Wydawał się w ogóle jej nie słyszeć.

– Kiedy zaczęła się ta dyskusja, to był najzabawniejszy język, jaki w życiu słyszałem –– brzmiał jak zlepek hałaśliwych dźwięków.

W przyczepie Ted usiadł na zielonym tapczanie, który rozkładał się w podwójne małżeńskie łoże.

– Mogą tu, w okolicy, potrzebować dobrego specjalisty od księgowości podatkowej – powiedział. – Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem to miejsce, miałem zdecydowanie dobre przeczucia. Dolina wygląda na kwitnącą. Dziwię się, że jak do tej pory, nikt jeszcze nie otworzył tutaj biura.

Jego żona wykorzystała jako proste krzesło, kontuar oddzielający kuchnię od części mieszkalnej i rozłożyła ręce na ciężkim brzuchu.

– Jestem tylko piramidalnie zmęczona tym hałasem kół, huczących wokół mojej głowy – stwierdziła. – Mam ochotę siedzieć i przez resztę życia gapić się na ten sam widok. Nie wiem, jak ta przyczepa, mogła mi się wydawać czymś wspaniałym, kiedy…

– Po prostu, odziedziczyliśmy żyłkę włóczęgowską – odparł.

Na dworze zazgrzytał żwir pod oponami samochodu.

Martha Graham wyprostowała się.

– Czy to mogą być oni?

– Jeżeli tak, to byliby strasznie szybcy. – Podszedł do drzwi, otworzył je i zobaczył mężczyznę, który właśnie unosił rękę, aby zapukać.

– Czy pan Graham? – spytał go mężczyzna.

– Tak. – Stwierdził, że stoi, wpatrując się w przybysza.

– Nazywam się Clint Rush. To pan dzwonił w sprawie domu? – Mężczyzna przysunął się bliżej, w stronę światła. Na pierwszy rzut oka wydawał się być już starszym człowiekiem, z twarzą pociętą delikatnymi liniami zmarszczek i wyglądającą na zmęczoną skórą. Ale kiedy przesunął głowę bardziej w światło, zmarszczki jakby się rozpłynęły –– a razem z nimi spłynęły z niego lata.

– Tak, to my dzwoniliśmy – odparł Ted Graham. Odsunął się z wejścia. – Czy chciałby pan teraz spojrzeć na przyczepę?

Martha podeszła i stanęła obok męża.

– Utrzymywaliśmy ją w bardzo dobrym stanie – dodała. – Nigdy nie mieliśmy z nią żadnych poważniejszych kłopotów.

Brzmi za bardzo nerwowo, pomyślał Ted. *Szkoda, że nie pozwoliła mi mówić za nas oboje*.

– Możemy wrócić jutro i obejrzeć pańską przyczepę w świetle dziennym – zaproponował Rush. – Mój samochód stoi tuż obok, jeżeli chcecie państwo obejrzeć swój dom.

Ted Graham zawahał się. Czuł jakieś dokuczliwy niepokój w myślach i próbował skupić swoją uwagę na tym, co go prześladowało.

– Czy nie moglibyśmy wziąć naszego samochodu? – spytał. – Pojechalibyśmy za panem.

– Nie ma takiej potrzeby – uspokoił go Rush. – I tak będziemy wracać dzisiaj wieczorem do miasta. Możemy was wtedy podrzucić.

Ted skinął głową.

– Już do pana idziemy, tylko zamkniemy przyczepę.

W samochodzie Rush wymamrotał kilka słów prezentacji. Jego żona była tylko ciemnym cieniem, siedzącym na przednim fotelu, z włosami

związanymi z tyłu w potężny kok. Jej wygląd sugerował cygańskie pochodzenie. Mąż nazwał ją Raimee.

Dziwne imię, pomyślał Graham. Zauważył, że ona również sprawiała to osobliwe wrażenie zaawansowanego wieku, które rozpłynęło się przy przesunięciu światła.

Pani Rush zwróciła swoją cygańską twarz w stronę Marthy Graham.

– Będzie pani miała dziecko.

Zabrzmiało to jak jakieś niezwykłe, zawoalowane stwierdzenie.

Nagle samochód ruszył do przodu.

Martha potwierdziła:

– Powinno się urodzić za około dwa miesiące. Mamy nadzieję, że będzie to chłopiec.

Pani Rush popatrzyła na męża.

– Rozmyśliłam się – powiedziała.

Rush odpowiedział jej, nie odrywając swojej uwagi od drogi.

– Jest już za… – Przerwał, mówiąc dalej w języku przypominającym plątaninę dziwnych dźwięków.

Ted rozpoznał język, który słyszał w rozmowie telefonicznej.

Pani Rush zaczęła spierać się z mężem w tym samym języku, a w jej głosie pojawił się coraz silniejszy gniew. Clint Rush odpowiadał jej znacznie spokojniejszym tonem.

Po pewnym czasie pani Rush zapadła w markotne milczenie.

Rush odwrócił głowę do tyłu samochodu.

– Żona ma chwile nostalgii, kiedy nie chce opuszczać naszego starego domu. Towarzyszył jej przez tak wiele lat.

Ted Graham odparł:

– Och. – A potem dodał: – Jesteście Hiszpanami?

Rush zawahał się.

– Nie, jesteśmy Baskami.

Skierował samochód dobrze oświetloną aleją, która włączała się w autostradę. Skręcili w boczną drogę. Potem było jeszcze kilka kolejnych skrętów –– w lewo, w prawo, w prawo.

Ted zupełnie się zgubił.

Trafili w jakąś wyrzucającą w górę nierówność, która wywołała u Marthy sapnięcie.

– Mam nadzieję, że to nie było dla pani zbyt ostre – przeprosił Rush. – Jesteśmy już niemal na miejscu.

Samochód skręcił w wąską uliczkę, a w świetle jego reflektorów mignęły szkieletowate zarysy drzew. Dziwnych drzew –– wysokich, zabiedzonych, pozbawionych liści. Ten widok zwiększył jeszcze uczucie niepokoju w Grahamie.

Uliczka zakończyła się u podnóża ściany domu –– z czerwonej cegły, z oknami wychodzącymi nad dachy sąsiednich budynków, podkreślonymi przewieszonymi parapetami. Efekt tej ściany i szerokich, rozświetlonych drzwi, które widać było po lewej stronie, wyglądał ultranowocześnie.

Ted Graham pomógł żonie wysiąść z samochodu i poszedł za Rushami w stronę drzwi.

– Wydawało mi się, że mówił mi pan, że to jest stary dom – powiedział.

– Został zaprojektowany przez jednego z pierwszych modernistów – wyjaśnił Rush. Zaczął nerwowo grzebać w zamku dziwnym, zakrzywionym kluczem. Szerokie drzwi otworzyły się na oścież, pokazując za sobą równie szeroki przedpokój, z rozłożonym na podłodze włochatym dywanem. Na końcu korytarza można było dostrzec wielkie okna, rozciągające się od podłogi do sufitu, oraz wlewające się przez nie światła miasta.

Martha złapała głębszy oddech, wchodząc do korytarza, jak gdyby w transie. Idący za nią Ted usłyszał odgłos zamykających się za nimi drzwi.

– On jest taki… taki… taki *wielki* – zawołała Martha.

– I chce pan *coś takiego* zamienić na naszą przyczepę? – spytał Ted.

– Dla nas jest zbyt niewygodny – odparł Rush. – Mam pracę za górami, na wybrzeżu. – Wzruszył ramionami. – Nie możemy go sprzedać.

Ted popatrzył na niego ostro.

– Czy tu, gdzieś w okolicy, nie ma żadnych pieniędzy? – Nagle stanęła mu przed oczyma wizja księgowego, zupełnie pozbawionego klientów.

– Mnóstwo pieniędzy, ale żadnych klientów na nieruchomości.

Weszli do salonu.

Ściany wyłożone były mozaiką kilimów. W rogach pomieszczenia świeciły się przytłumione lampy. Na przeciwległych ścianach wisiały dwa obrazy –– prostokąty wypełnione dziwnymi liniami i łukami, przyprawiającymi Teda o zawrót głowy.

W głowie Teda zawyły syreny ostrzegawcze.

Martha podeszła do okien, spoglądając na rozciągające się daleko w dole światła.

– Nie miałam pojęcia, że znaleźliśmy się tak wysoko – powiedziała. – To wygląda, jak czarodziejskie miasto.

Pani Rush wyrwał się krótki, nerwowy uśmiech.

Ted rozejrzał się po pokoju i pomyślał sobie: *Jeżeli reszta tego domu jest podobna do tego, to jest wart jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy*. – Pomyślał o przyczepie. – *Całkiem dobra, ale nie jest warta więcej, niż siedem tysięcy*.

Niepokój w jego umyśle przypominał gorejący neon.

– To wszystko wydaje się takie… – Pokręcił głową.

– Czy chce pan obejrzeć pozostałą część domu? – spytał Rush.

Martha odwróciła się od okna.

– Och, tak.

Ted wzruszył ramionami. *Pooglądać sobie można, to nic nie szkodzi*, pomyślał.

Kiedy wrócili do salonu, Ted podwoił swoje poprzednie oszacowanie wartości domu. Sumując to wszystko, mózg aż mu się wykręcał: solarium z całym sufitem pokrytym przez lampy kwarcowe, automatyczna pralnia,

w którą wrzucało się po pochylni wybrudzone ubranie, a potem z drugiego końca wyciągało się wyprane i wyprasowane…

– Może pan i pańska żona chcielibyście przedyskutować to na osobności – zaproponował Rush. – Zostawimy państwa na chwilę samych.

I odeszli, zanim Graham zdążył zaprotestować.

– Ted, naprawdę, nigdy w życiu nawet nie śniłam…

– Kochanie, coś tu jest bardzo nie w porządku.

– Ale, Ted…

– Ten dom wart jest co najmniej sto tysięcy dolarów. Może nawet więcej. A oni chcą wymienić *coś takiego*… – powiódł dookoła wzrokiem – na przyczepę za siedem tysięcy dolarów?

– Ted, to obcokrajowcy. A jeżeli są tacy głupi, że znają faktycznej wartości tego miejsca, to dlaczego niby mielibyśmy…

– Nie podoba mi się to – powtórzył. Jeszcze raz rozejrzał się po całym pomieszczeniu, przypominając sobie całe fantastyczne wyposażenie domu. – Ale, może masz rację.

Wyglądali na zewnątrz, na miejskie światła. Wyglądały niemal jak kunsztowna koronka: Wysokie, smukłe budynki, połączone sznurkami migoczącej poświaty. Gdzieś daleko, w niebo strzeliło coś podobnego do rzymskiej świecy.

– Okay! – powiedział w końcu Ted. – Jeżeli chcą się z nami wymienić, chodźmy zakończyć ten interes…

Nagle, cały dom zadrżał. Miejskie światła zamigotały i zgasły. Powietrze wypełnił jakiś pomruk.

Martha schwyciła rękę męża.

– Ted! Co… co to było?

– Nie wiem. – Odwrócił się. – Panie Rush!

Nie było odpowiedzi. Tylko pomruk.

Na drugim końcu pokoju, otworzyły się drzwi. Przeszedł przez nie jakiś dziwny człowiek. Miał na sobie ubiór podobny do krótkiej togi, z jakiejś metalizowanej tkaniny, spiętej w pasie czymś migoczącym i połyskującym, wszystkimi kolorami widma. Emanowała od niego aura chłodu i władzy –– poczucie nienaruszalnej dumy.

Obrzucił wzrokiem wnętrze pokoju i przemówił w tym samym języku, którego używali Rushowie.

Ted odpowiedział mu:

– Niestety, nie rozumiem pana.

Mężczyzna położył rękę na swoim migoczącym pasie. Oboje, zarówno Ted, jak i Martha, poczuli jakby coś ich przyciągnęło do podłogi, pulsujące uczucie wibracji przemieszczających się wzdłuż każdego włókna nerwowego.

I znowu z ust mężczyzny popłynęły słowa w tym samym dziwnym języku, tym razem jednak, były one zrozumiałe.

– Kim jesteście?

– Mam na nazwisko Graham. A to jest moja żona. Co się dzieje…

– Jak się tutaj znaleźliście?

– Państwo Rush –– chcieli wymienić ten dom, na naszą przyczepę. Przywieźli nas tutaj. A teraz, prozę posłuchać, my…

– Jaki jest twój talent… twój zawód?

– Zajmuję się księgowością podatkową. Proszę posłuchać! Skąd te wszystkie…

– Należało się tego spodziewać. – stwierdził mężczyzna. – Sprytne! Och, jakie niesamowicie sprytne! – Jego dłoń ponownie przesunęła się na pas. – A teraz bądźcie cicho. To może was chwilowo zdezorientować.

Umysły obojga Grahamów wypełniły różnokolorowe światła. Zatoczyli się w oszołomieniu.

– Zostaliście zakwalifikowani – oznajmił mężczyzna. – Będziecie służyć.

– Gdzie my jesteśmy? – zaczęła się dopytywać Martha.

– Współrzędne i tak nie byłyby dla was zrozumiałe – stwierdził ich rozmówca. – Jestem przedstawicielem Rojac. Wystarczy wam wiedza, że znaleźliście się pod władzą Rojac.

Ted Graham rozpoczął:

– Ale…

– W pewnym sensie, zostaliście porwani. A Raimee uciekli na waszą planetę –– niezarejestrowaną planetę.

– Niestety – przyznała drżącym głosem Martha.

– Nie macie się czego bać – zapewnił ich mężczyzna. – Nie jesteście już na planecie, na której się urodziliście –– ani nawet w tej samej galaktyce. –– Spojrzał na nadgarstek Teda. – To urządzenie, na twojej ręce –– czy ono pokazuje wasz miejscowy czas?

– Tak.

– To może pomóc w poszukiwaniach. A wasze słońce –– czy mógłbyś opisać jego cykl atomowy?

Ted grzebał po omacku w pamięci, szukając wspomnień na temat fizyki i astronomii w szkole, w niedzielnych dodatkach do gazet.

– Pamiętam, że nasza galaktyka jest spiralą, jak…

– Galaktyki w większości są spiralne.

– Czy to jest jakiegoś rodzaju żart? – spytał Ted.

Mężczyzna uśmiechnął się, zimnym, pełnym wyższości uśmiechem.

– To nie jest żart. A teraz, przedstawię wam propozycję.

Ted skinął ze zmęczeniem głową.

– No dobrze. Miejmy już za sobą tę sprawę.

– Ludzie, którzy sprowadzili was tutaj, byli poborcami podatków, zrekrutowanymi przez nas, Rojac, na jednej z planet zależnych. Zostali uwarunkowani, aby nie byli w stanie pozostawić swojej pracy bez nadzoru. Niestety, byli na tyle mądrzy, aby zdać sobie sprawę z faktu, że jeżeli sprowadzą kogoś innego, kto będzie potrafił wykonywać ich zadania, to uwolnią się od swoich mentalnych więzów. Bardzo sprytne.

– Ale…



– Możecie dostać ich pracę – kontynuował mężczyzna. – Normalnie zostalibyście skierowani do pracy w najniższych eszelonach, ale my wierzymy, w wymierzanie sprawiedliwości wszędzie tam, gdzie tylko może ona zostać wymierzona. Raimee bez wątpienia, natknęli się na waszą planetę przez przypadek i skusili was do przybycia w to miejsce bez…

– A skąd pan wie, że potrafię wykonywać waszą pracę?

– Ten chwilowy rozbłysk, był testem twoich zdolności. Przeszedłeś go. No dobrze, czy akceptujesz?

– A co się stanie z naszym dzieckiem? – próbowała dowiedzieć się troskliwie Martha.

– Będzie wolno wam je zatrzymać do czasu, aż osiągnie wiek decyzji –– przez okres mniej więcej potrzebny dziecku na osiągnięcie dorosłości.

– I co dalej? – dopytywała się Martha.

– Dziecko zajmie swoją pozycję w społeczeństwie –– zgodnie ze swoimi zdolnościami.

– Czy potem będziemy mogli jeszcze kiedykolwiek je zobaczyć?

– Prawdopodobnie.

Ted zapytał:

– Jaki jest w tym haczyk?

I ponownie zimny, pełen wyższości uśmiech.

– Zostaniecie uwarunkowani, w podobny sposób do tego, jak to było w przypadku Raimee. Będziemy chcieli przebadać również waszą pamięć, co pomoże nam w poszukiwaniach waszej planety. Dobrze byłoby znaleźć kolejne miejsce zdatne do życia.

– Dlaczego oni zastawili na nas taką pułapkę? – zapytała Martha.

– To samotnicza praca – wyjaśnił mężczyzna. – Wasz dom, to właściwie rodzaj środka transportu kosmicznego, podróżującego po wyznaczonej wam trasie poboru podatku –– a zajmowanie się tym zadaniem, wymaga wielu podróży. A poza tym –– nie będziecie mieli przyjaciół, ani zbyt wiele czasu na cokolwiek poza pracą. Nasze metody, z konieczności bywają czasami surowe.

– *Podróże*? – powtórzyła z konsternacją Martha.

– Niemal nieustanne.

Ted poczuł, że jego umysł zaczyna wirować. A spoza pleców, słyszał szloch swojej żony.

Raimee usiedli w przyczepie niegdyś należącej do Grahamów.

– Przez parę chwil bałam się, że nie złapią przynęty – powiedziała ona. – Wiem, że nigdy nie udałoby ci się nagiąć przymusu myślowego na tyle mocno, aby pozostawić ich tam bez ich uprzedniej zgody.

Raimee zachichotał.

– Tak. A teraz mam zamiar rozkoszować się wszystkim, na co Rojac nigdy nam nie pozwalali. Będę pisać ballady i poematy.

– A ja mam zamiar malować – oświadczyła ona. – Och, słodka wolności!

– Wygraliśmy to dzięki chciwości – stwierdził on. – Długie badania Grahamów, opłaciły się. Nie mogli odmówić tej propozycji.

– Wiedziałam, że oni się zgodzą. Widać to było w ich spojrzeniach, kiedy zobaczyli dom! Oboje mieli… – Przerwała, a w jej oczach pojawił się wyraz zgrozy. – Jedno z nich się nie zgodziło!

– Oboje to zrobili. Przecież ich słyszałaś.

– A dziecko?

Wpatrywał się w swoją żonę.

– Ale… przecież ono nie osiągnęło jeszcze wielu decyzji!

– Za jakieś mniej więcej osiemnaście lat tej planety, ono *będzie* w wieku decyzji. Co wtedy?

Obwisły mu ramiona. Zadrżał.

– Nie będę w stanie tego pokonać. Będę musiał zbudować transmiter, wezwać Rojac i wszystko wyznać!

– I wpadnie im w ręce, kolejne nadające się do życia miejsce – stwierdziła bezbarwnym i płaskim głosem.

– Spieprzyłem to – powiedział. – Naprawdę to spieprzyłem.

KONIEC